

Marcin Halski

BEZDOMNOŚĆ

All Inclusive

Prawdziwa historia Piotra G.

Nietuzinkowa powieść, która zabiera do mrocznego świata własnych ograniczeń i lęków. Historia, którą koniecznie trzeba przeczytać. Polecam.

Anna Wolf

Bezdomność all inclusive ® Marcin Halski

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środowiskach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórcy.

Wydanie pierwsze
Wojkowice 2024

ISBN: 978-83-68177-23-7
ISBN E-BOOK: 978-83-68177-24-4

Redakcja: Natalia Hermansa

Korekta: Kamila Galer-Kanik

Projekt graficzny okładki: E.Raj

Zdjęcie na okładce:
<https://www.pexels.com/photo/a-man-wearing-a-black-hoodie-sweater-and-a-pair-of-sneakers-5362862/>

Ilustracje: Ewa Tomczak

Skład: Wydawnictwo Hm

WYDAWNICTWO HM...
E-mail: redakcja@wydawnictwohm.pl
Telefon: 518833244
Adres: ul. Sobieskiego 225/9 42-580 Wojkowice

Wersja papierowa dostępna na:

WWW.WYDAWNICTWOHM.PL



Marcin Halski

BEZDOMNOŚĆ

All Inclusive

*Książkę dedykuję
31 042 osobom w kryzysie bezdomności w Polsce*

Wstęp

Mówi się, że istnieją na świecie miejsca, które wyciągają z człowieka najgorsze cechy. Miasta, nad którymi wisi niemożliwe do określenia widmo; umierające za życia skupiska ludzkie, gdzie trudno o jakąkolwiek nadzieję. Wspomina się o nich w książkach, filmach, grach... ale czy one naprawdę istnieją?

W trakcie pisania tej książki pojechałem do Włocławka nie tylko po to, żeby zobaczyć opisywane przeze mnie budynki. Chciałem też na własne oczy się przekonać, czy zarówno Piotrek, jak i poznani przez Internet ludzie nie przesadzają. Ostrzegali mnie bowiem, że to czarny punkt na mapie Polski.

Wyruszyłem zupełnie w ciemno, bez konkretnych adresów, bez namiarów na kogokolwiek. Miałem jedynie opisy oraz imiona lub pseudonimy. I smutną historię, którą opowiedział mi sam Piotrek.

Odnalazłem wszystko, ale wróciłem z wiedzą większą, niż planowałem zdobyć.

Gdy tylko dotarłem na miejsce, okazało się, że Włocławek, a dokładniej Śródmieście, składa się głównie z rozpadających się kamienic i opuszczonych lokali (poza Żabkami – one są wszędzie i zawsze dają radę), ale to był tylko wierzchołek góry lodowej. Przez trzy dni obserwowałem przechodniów, którzy ze spuszczoneymi głowami przemykali ulicami, pośpiesznie stawiali kroki, nie rozglądając się dookoła. Jeśli cokolwiek mówili, z ich słów były negatywne emocje lub apatia. Rozmawiałem z osobami, które uciekły do innych miejsc, a powracały tu tylko w odwiedziny. Po pierwszym dniu dotarło do mnie, że miasto funkcjonowało jedynie dzięki jakiejś niepojętej sile rozpędu, że to wyłącznie ona jeszcze jakoś trzymała to wszystko w kupie. Mimo że Włocławek od 2018 roku przechodził rewitalizację, a wiele obiektów wyremontowano, i tak czułem się, jakbym dotarł do alternatywnego, upadłego świata.

To wrażenie wzmacniało się jeszcze ze względu na wszechobecnych bezdomnych – całe rzesze osób niemających gdzie mieszkać ani za co żyć; wciąż nietrzeźwych i brudnych. Tak samo przygnębionych jak reszta. Spotykałem ich na każdym kroku, w każdym zakątku, jakby zjeżdżali się tutaj z całego kraju. A może to miasto wysysało chęć do normalnego życia i każdy, kto tu trafił, narażał się na dużo większe ryzyko upadku?

Odwiedziłem w Śródmieściu nie tylko nieliczne otwarte sklepy, przytułek, jadłodajnię czy Caritas, rozmawiałem

nie tylko z przechodniami i mieszkańcami. Udało mi się wejść do kilku zamieszkanym pustostanów, nawiązać kontakt z marginesem i dużo się dowiedzieć o zasadach panujących na dnie. Było to bardzo przygnębiające doświadczenie. Rozmawiałem też z włocławianami, którzy po prostu mieli dość szwendających się pijaków i reagowali agresywnie przy każdej próbie poruszenia tego tematu. Jeden z nich myślał nawet, że wchodzę do opuszczonego budynku, żeby tam przenocować, i na mnie nawrzeszczał. Chyba muszę zacząć lepiej się ubierać.

Powieść ta nie jest na szczęście ani przewodnikiem po Włocławku, ani lekturą, która ma zniesławić miasto czy poruszyć problem patologicznego programu pomocy społecznej. Są to wspomnienia mojego przyjaciela z niemal roku przeżytego wśród bezdomnych. Wszystkie wydarzenia opisałem na podstawie jego słów, ale po tym, co widziałem, nie mam żadnych powodów, żeby nie wierzyć w tę historię.

Życzę Wam zatem udanej lektury, a jeśli któryś z fragmentów wyda się niewiarygodny, możecie mi wierzyć – to zdarzyło się naprawdę. Co więcej: nie opisałem niektórych wspomnień Piotrka, bo w moim mniemaniu były zbyt odpychające lub drastyczne, a nie wnosiły wiele do fabuły.

Marcin Halski

**CZĘŚĆ PIERWSZA
PRZESZŁOŚĆ**

A person wearing a grey hoodie and a backpack is walking away from the camera down a brightly lit hallway. The person is centered in the frame, and the hallway has a perspective that leads the eye towards the end. The lighting is soft and even.

Prolog

[...] nie mamy nic, tylko strach i nadzieja, i ten świat, w którym wciąż szukamy zrozumienia.

Halok & Gieru, *Powroty i rozstania*

Blżej nieokreślony lęk nie chciał mnie puścić, a ja nie umiałem nad nim zapanować. Wracałem do domu pełen złych przeczuc, a z każdym kolejnym krokiem odczuwałem coraz silniejszy opór, jakby jakaś niewidzialna siła próbowała mnie spowolnić. W ten październikowy dzień pogoda pozostawiała wiele do życzenia, ale nie padało i nie wiało za mocno, a to już wystarczyło, żebym wybrał okrężną trasę.

Skręciłem w wąską alejkę, wijącą się niczym serpenty na pomiędzy krzakami. Mogłem w tym miejscu przejść na skróty, ściąc kawałek trawnikiem i dotrzeć do mieszkania wcześniej, ale nie miałem na to najmniejszej ochoty. Zamiast tego minąłem jeden z pierwszych bloków na osiedlu i zwolniłem. Już właściwie bardziej powłóczyłem nogami, niż szedłem. Niczym jakiś osiedlowy zombie.

Często odwlekałem powroty z gimnazjum do domu, lubiłem się delectować samotnością i choć w głębi duszy

wiedziałem, że była to forma ucieczki, nie miałem zamiaru z niej rezygnować. W dni takie jak ten tylko ona mi pozostała.

Krok... potem kolejny... i następny. Moje nogi przesuwały się wciąż do przodu, ale niewiele brakowało, żebym zaczął się poruszać jak Michael Jackson w teledysku.

Tymczasem poczucie zagrożenia wciąż narastało.

Niespodziewanie plecak zaczął mi ciążyć, jakby nagle ktoś włożył do niego kilka solidnych cegieł, a przecież w środku trzymałem tylko książki – niby stare, kupione z drugiej lub trzeciej ręki i podniszczone, ale dla mnie niezmiernie ważne. Szanowałem słowo pisane: nie tak łatwo ścierało się z kartek, oczy nie mogły wchłonąć liter, dłonie ich rozmazać, a czas zbyt szybko zniszczyć materiału, na którym je zapisano.

Wcześniej pomiędzy podręcznikami schowałem piwo. Puszkowe, z dolnej półki i ciepłe, ale na więcej nie udało mi się wysepić pod szkołą. I tak lepsze to niż nic. Znałem kilka fajnych miejscówek, które znajdowały się po drodze, pomyślałem więc, że przysiadę w którejś z nich i spróbuję opanować coraz silniejsze drżenie dłoni. Ostatecznie tego nie zrobiłem, a teraz żałowałem jak cholera.

Zamyślony dotarłem do kolejnego z wyrastających dookoła bloków. Samo osiedle lubiłem z wielu powodów, ale głównie przez świadomość, że mieszkający tu ludzie mieli swoje historie. Setki, jeśli nie tysiące opowieści, których nikt nigdy nie będzie w stanie przekazać dalej. Mnóstwo wzlotów i upadków, po których w przyszłości nie zostanie nawet

ślad. Dramaty bezimienne i tak dla mnie odległe, jakby działy się na innej planecie, choć tak naprawdę rozgrywały się tuż obok.

Rozejrzałem się po osiedlu. Wychodzące nieśmiało zza chmur słońce odbijało się od okien, które wbite w beton rozdzielały ludzkie losy niczym żelazne pręty klatki w ogrodzie zoologicznym. Patrzyłem na ten szklany las i w myślach wyliczałem: tu mieszkała rodzina z ojcem hazardzistą, a tam druga, z niepełnosprawnym, poważnie chorym dzieckiem. Tu samotnik, który stracił żonę w wypadku. Tam staruszka opuszczona przez dzieci, które wyjechały za granicę.

Wszyscy byliśmy cywilizowanymi ssakami w klatkach utworzonych przez postęp.

Zamyślony nawet nie zauważyłem, gdy ścieżkę pomiędzy blokami znowu pokrył asfalt. Wyczułem go dopiero przez podeszwy lekko podniszczonych butów i wtedy uświadomiłem sobie, że dotarłem na miejsce.

Zatrzymałem się przed blokiem, w którym wydarzyła się najważniejsza historia – ta dotycząca mnie. Rozejrzałem się dookoła, jakbym liczył, że stanie się coś, co pozwoli mi odwlec w czasie nieuniknione. Niestety, jak zawsze w takie dni, moje nadzieje zostały rozwiane niczym śmieci walające się nieopodal na trawie.

Co za syf.

Wiedziałem, że muszę iść na górę. Nie miałem dość odwagi, by zawrócić, a pora była zbyt wczesna, bym na pobliskich ławkach spotkał kogoś znajomego. Wyciągnąłem piwo, otwarłem je i wypilem w dwóch łykach. Na szybko,

żeby przypadkiem nie zauważyła tego któraś ze wścibskich sąsiadek. Te stare jędze potrafiły napsuć człowiekowi krwi.

Alkohol powoli zaczynał działać, ale nie zrobiło mi się dużo lepiej. Najważniejsze jednak, że napięcie, które czułem każdym skrawkiem ciała, puściło, a to właśnie tego najbardziej na świecie potrzebowałem.

Westchnąłem i na miękkich nogach zacząłem wspinaczkę po schodach. Chłód odrapanej poręczy, popękane, dawno niemalowane ściany przypominały mi o tym, co czekało mnie po przekroczeniu progu. Mimo obskurnego wyglądu klatka schodowa była w tym momencie jak widok w galerii – mógłbym podziwiać jej dziury, plamy, odpryski niczym najpiękniejsze obrazy. Chciałem się przy nich zatrzymać, pokontemplować i odwlec nieuniknione.

Ale spóźnienie oznaczało zazwyczaj jeszcze większe kłopoty.

* * *

Nie zatrzymałem się przy wejściu, choć miałem na to ogromną ochotę. Od razu, właściwie z rozpędu, złapałem za klamkę, nacisnąłem ją i pociągnąłem. Z miejsca uderzył we mnie zapach nieprzetrawionego alkoholu i przypalonego obiadu. Specyficzna woń wisiała złowieszczo w powietrzu, opatulała mnie, paraliżowała. To był ten moment, w którym znajdowałem się w oku cyklonu; gdy jeszcze otaczał mnie błogi spokój, a cała zawierucha rozgrywała się gdzieś obok. Niestety zdawałem sobie sprawę, że to tylko chwilowe, bo za chwilę chaos pochłonie również i mnie.

Nie zwlekałem dłużej, wszedłem do środka.

Strach powrócił ze zdwojoną siłą, i to jeszcze zanim usłyszałem szloch... stłumiony, cichy... To matka. Nie zdążyłem cisnąć plecakiem w kąt, kiedy od strony kuchni dobiegł mnie dźwięk, który śnił mi się prawie każdej nocy.

Plask!

Zaraz po nim rozległ się kolejny jęk mojej rodzicielki. Nie próbowałem nawet walczyć z rosnącą we mnie wściekłością, zacisnąłem pięści, a nagle obojętność względem własnego losu przejęła stery. Ruszyłem w stronę niewielkiego pomieszczenia, którego ściany widziały więcej dramatów niż niejeden ośrodek wychowawczy.

– Przestań! – krzyknąłem, niewiele myśląc.

Adrenalina buzowała we mnie na całego, przez co nie zdążyłem się w porę uchylić. A przecież dobrze wiedziałem, jak to się skończy.

Potężne uderzenie zważyło mnie z nóg.

Chwilę później leżałem na podłodze przy stole, zaraz obok kulającej się ze strachu kobiety. Zdrętwiałym przedramieniem przejechałem po wargach, czułem, jakby coś się do nich przykleiło. Jak przez mgłę zobaczyłem czerwoną plamę, która pozostała na rękawie, ale w pierwszej chwili nie skojarzyłem, z czym mam do czynienia.

Ojciec, opiekun i oprawca w jednym, stał tuż obok i rozcierał skórę na kłykciach. Jego wzrok wyrażał czystą pogardę. Mężczyzna szybko jednak stracił mną zainteresowanie i skierował spojrzenie na mamę. Całą postawą dawał do zrozumienia, że teraz przyszła jej kolej.

Skurwysyn.

– Stój! – wyrwało mi się, a w każdym razie takie miałem wrażenie. Słowa protestu wyszły spomiędzy moich warg, więc chyba należały do mnie.

– Piotrek, cicho, nie wtrącaj się! – Matka się poruszyła, jakby pragnęła za wszelką cenę dobrnąć do mnie, choćby na czworakach, i osłonić własnym ciałem.

Niestety, nie zrobiła tego. Ani teraz, ani nigdy wcześniej. W sumie normalka, już dawno przestałem liczyć na to, że kiedykolwiek uczyni podobny gest. Strach był zbyt potężną blokadą.

Więcej nie zdołałem pomyśleć, bo ojciec, zaskoczony moją reakcją, podszedł bliżej. W jego oczach szalała furia, która walczyła o lepsze z upojeniem alkoholowym i nienawiścią – chyba nie tylko do świata, ale i do samego siebie.

– Zamknij się, nieuku! – Wraz z jego słowami, dotarł do mnie ból. To był solidny kopniak.

Odrzuciło mnie do tyłu, a moja głowa odbiła się od kaloryfera, przy którym zaległem. Przed oczami widziałem tylko mroczki, a w środku czułem, jak bezsilność przekuwała się w nienawiść do tego człowieka. Szkoda, że nic nie byłem w stanie zrobić, w tym momencie mogłem tylko czekać, aż to wszystko się skończy.

A trochę to trwało.

I nikt mnie nie zasłonił, ale przywykłem.

Wpatrywałem się w pomiętą kartkę. Pokryta moim pismem, pokreślona w niektórych miejscach nauczycielskim długopisem leżała obok mnie na łóżku. Miałem wrażenie, że również spogląda na mnie złowrogo.

Przyłożyłem jednorazówkę z lodem do coraz bardziej spuchniętego policzka. Piekło jak cholera. Na dodatek zaburczało mi w brzuchu. Zjadłbym choć skromną kolację, ale wątpiłem, czy znajdę w lodówce coś oprócz lodu. Tymczasem żołądek domagał się czegoś innego, czegoś stałego.

Popatrzyłem na ten nieszczęsny kawałek papieru, ale bolesne ssanie przywróciło mnie od razu do rzeczywistości.

Może spróbuję?

Zacząłem nasłuchiwać. W domu panowała kompletna cisza, ale wyprawa po jedzenie mogłaby się okazać zbyt ryzykowna – popękany gumolit za każdym razem głośno chrzęścił pod stopami. Ojciec, nawet jak się nawalił, nie spał aż tak twardo, a jego przebudzenia mógłbym nie przeżyć. Dosłownie i w przenośni. W myślach spróbowałem przekalkulować, w jakiej fazie snu się znalazł.

Rozprawa w kuchni skończyła się ze dwie godziny temu. Ten sadysta pił jeszcze jakiś czas i nie zwracał uwagi na resztę domowników. Zresztą zaraz po kopniaku doczołgałem się do swojego pokoju. Nie odwróciłem się nawet w stronę cicho płaczącej matki, nie miało to sensu. Ale ile temu to było? Nieważne. Najgorsze, że znowu czułem złość na tę kobietę.

Jak zawsze po takich akcjach nie rozmawialiśmy ze sobą przez jakiś czas, nie siadaliśmy razem, tylko każde z nas szukało w samotności usprawiedliwienia swojego zachowania – ja tego, że znowu dałem się ponieść emocjom i się wtrąciłem, a ona, że jak zwykle pozostała bierna. Może współdziałanie poniżenia i bólu z własnym dzieckiem dodawało jej w jakiś pokretny sposób sił, żeby nadal trwać w tym koszmarze? Mnie to dobijało. Pojebane.

Tkwiłem więc w niewielkim pokoju i po raz kolejny obiecałem sobie, że następnym razem się wycofam, schowam u siebie albo w ogóle nie wejdę do domu – pragnienie ucieczki coraz śmielej kielkowało w mojej duszy i nic nie mogłem na to poradzić.

Brzuch odezwał się znowu głośną skargą, jednak tym razem nie byłem pewien, czy to efekt głodu, czy wcześniejszych wstrząsów.

A gdyby tak zaryzykować i pójść do kuchni? To pytanie tłukło się w mojej głowie, nie pozwalało się skupić.

Przedpokój był wąski, a droga do kuchni prowadziła obok salonu, skąd dobiegało głośne pijackie chrapanie i subtelny dźwięk trącego o papier długopisu – moja rodzicielka w ten sposób odcinała się od tego, co zdarzyło się w ciągu dnia. Z jednej strony ją podziwiałem – sam chciałem wrzeszczeć, kłać, bić pięściami w ścianę. Z drugiej jednak... miałem czasami wrażenie, że krzyżówki stały się dla niej symbolem jakiejś tarczy, którą trzyma w rękach w gotowości do użycia w sytuacji kryzysowej. Nie potrafiłem sobie jednak wyobrazić,

jak bardzo źle musiałyby się potoczyć awantura, żeby matka zareagowała w jakiś inny sposób.

Westchnąłem. Może kiedyś tego doczekam, zobaczę ją, jak w tych snach, które nawiedzały mnie często w nocy – matka stojąca nad ciałem ojca z zakrwawionym nożem, szepcząca słowa: „Już wszystko będzie dobrze, synu, już nam nic nie zrobi”.

Czy byłem potworem, marząc o śmierci ojca? Często się nad tym zastanawiałem, ale nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie. Tak czy inaczej, moja nadzieja na zmianę sytuacji – podobnie jak nocne wizje – i tak stopniowo zanikała.

Spojrzałem na karton wstawiony zamiast szyby w drzwiach mojego pokoju, a potem przeniósłem wzrok na blizny na dłoniach. Ich blade nici tworzyły coś w rodzaju pajęczyny i choć wszystko dawno się zagoiło, nie potrafiłem tego zapomnieć.

To było pół roku temu. Pierwszy i ostatni raz pozwoliłem sobie na wybuch złości w tym miejscu i dotąd nie wiem, co bolało mnie wtedy bardziej – wyciąganie z dłoni odłamków szkła czy ojcowskie razy, gdy wróciłem ze szpitala.

Dawne dzieje. Teraz miałem inny problem: głód dawał o sobie znać. Przeanalizowałem wszystko jeszcze raz, ale w końcu postanowiłem sobie darować.

Popatrzyłem ponownie na zmasakrowany kawałek papieru, a wtedy złość przejęła kontrolę. Ocena, która tam widniała, powinna być wyższa. Wiedziałem, że gdybym nie wszedł dzisiaj w sam środek bitwy, to i tak rozpętałyby się podobna – ojciec rzadko potrzebował prawdziwego pretekstu do pokazu siły, a słaby stopień dawał mu zielone światło.

Mimo że nie wierzyłem we własne zapewnienia, postanowiłem się dziś zmobilizować – jutro matma, a ten pojeb, w tych nielicznych chwilach trzeźwości, twierdził, że stać mnie na lepsze stopnie. I choć jego system motywacyjny nie był najwyższych lotów, w tym jednym zapewne miał rację.

Wziąłem podręcznik i usiadłem na łóżku, starając się przy tym nie dotknąć leżącego sprawdzianu.

Minął może kwadrans. W ogóle mi nie szło – cyfry, które składały się na zadania, rozmywały się przed oczami, a rozwiązanie najprostszego nawet dodawania znajdowało się daleko poza moim zasięgiem. Zamknąłem i odrzuciłem brulion na bok. Tej walki dzisiaj nie miałem szans wygrać.

Już zamierzałem wstać i zgasić światło, kiedy naszła mnie dziwna myśl. Wziąłem ponownie do ręki sprawdzian i go odwróciłem. Z drugiej strony kartka była czysta, niezapisana. Tak chyba nie powinno być.

Złapałem leżący na biurku długopis i przyłożyłem go do papieru. Zacząłem pisać. Szybko, chaotycznie przelewałem swoje myśli, jedną za drugą. Najpierw nieskładnie, potem coraz bardziej sensownie. Po kilku minutach zabrakło miejsca, więc otworzyłem plecak i wyciągnąłem drugi zeszyt. Kolejne słowa, kolejne stronice – czułem, jakby demon, który we mnie siedział, przechodził mi przez rękę i pozostawiał po sobie ślad pomiędzy wersami. Nie przerywałem.

Zapadła noc. Wiedziałem, że rano wyjdę do szkoły w kiepskim stanie – zaspany, nieprzygotowany, ale nie miałem zamiaru narzekać. Odkryłem coś, co mogło mnie z tego wszystkiego wyciągnąć.